

Andrzej Rataj

Wróciłem z Łodzi

Wróciłem z Łodzi. Co tam robiłem? Ano, uczestniczyłem w dwu wydarzeniach – zebraniu sekcji muzealnej Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego oraz – klękajcie narody – w I (Pierwszym) Kongresie Muzealników. Uczestnikom zebrania sekcji jestem winien kilka bardziej rozwiniętych myśli na temat – muzea a samorządy. Wygłoszone w trakcie zebrania były zbyt mało rozwinięte. Może w dalszym ciągu tej relacji wywiążę się ze zobowiązania. Ale myśli one, czymże są wobec przeboju, hitu, Wydarzenia (przez duże W)... Pierwszy Kongres... Na wstępie muszę pochwalić organizatorów. Napracowali się solidnie, przygotowali wszystko tak dokładnie – wystąpienia (także osób z najwyższej półki), panele z pełną obsadą – tj. zarówno osoby prowadzących panele, jak i uczestników dyskusji panelowych – panelistów, dalej – wnioski, uchwały, materiały kongresowe, wreszcie miejsce obrad, naprawdę godne – najlepszy łódzki hotel + kilka innych też niezłych, transport autobusowy, no i *last but not least* całkiem niezłe żarełko z kieliszkiem wina (kto cwany załapał się na dwa albo i trzy). Frekwencja ogromna – ponad 1200 osób, prócz muzealników (w tym emerytów muzealnych, jak piszący te słowa) niemal połowa to ludzie z tak zwanego otoczenia. Jednym słowem coś, czego jeszcze nie było. Nie wiedzieć tylko czemu przed wejściem do Hiltona, pierwszego dnia obrad, stała grupka skromnie ubranych ludzi, z jakimiś transparentami, ulotkami. Powoływali się na św. Jerzego i wyraźnie mieli pretensje i usiłowali protestować. Postąpiłem z nimi przez chwilę, ale potem pobiegłem na obrady, a oni pewnie udali się do swoich domów. Szkoda, gdyby weszli do hotelu, to bez narażenia się na wyrzucenie, mogliby obejrzeć te cudaczki, które

dla muzealników przygotowali organizatorzy. Sam nocleg w tym hotelu kosztuje przecież (strzelam) połowę, a w najlepszym razie $\frac{1}{3}$ przeciętnej pensji muzealnej. Stracili okazję, trudno.

Nie będę się rozwodził nad dalszym ciągiem. Kongres był tak świetnie przygotowany, że zacząłem się zastanawiać, po co właściwie taka masa uczestników? To przecież była maszyna, która sama się oliwiła, sama wprawiała w ruch, pracowała według planu. Gdy okazało się, że mimo wszystko jacyś niesforni usiłovali coś wykrzyzczyć z sali, ujawniła się perfekcyjność planu, organizatorzy (nie)przygotowani na taka niesubordynację, nie zapewnili przenośnych mikrofonów. Sami natomiast dosyć często odczuwali tzw. „parcie na sitko”.

Pomyślałem, wzdychając cichutko „Mój Boże, jak ten świat się zmienił”. Po pierwsze, mimo zaprzeczeń, teza Francisca Fukuyamy o końcu historii jest prawdziwa, ale tylko w takim oto prymitywnym sensie, że nie tylko przyszłość, ale i przeszłość przestaje istnieć. Wobec tego w naszej teraźniejszości wszystko, co robimy, jest pierwsze, np. **Pierwszy Kongres...** Moj Boże, co by powiedzieli na to nasi Ojcowie założyciele – członkowie Delegacji Muzeologów Polskich, którzy 11 kwietnia 1914 roku zebrali się w Krakowie, aby radzić o polskim muzealnictwie. Wtedy jeszcze Polski nie było, zbliżała się wojna, która przyczyniła się do odrodzenia ojczyzny, ale oni już wówczas myśleli o przyszłości. **I to był pierwszy kongres muzealników polskich.** Następnie założyli oni Związek Muzeów Polskich i zamierzali kongresy, zwane zjazdami, organizować co roku. Niestety nie wszystko się udało. Muzea i muzealnicy przeżywali wiele kryzysów (skąd my to znamy) jednak docięgnęli do II wojny i w ciągu tych parudziesięciu lat odnotowali wiele sukcesów – regularnie wydawali „Przegląd Muzealny”, a każdemu zjazdowi towarzyszyło wydawnictwo – „Pamiętnik Zjazdu”. W sumie, w okresie międzywojennym, było tych zjazdów 15. Ostatni odbył się w 1939 roku w Gdyni i był poświęcony zabezpieczeniu zbiorów w obliczu zbliżającej się wojny. Po II wojnie wszystko miało wrócić do normy, mimo ogromnych strat nasze środowisko podniosło się i kontynuowało dobrą tradycję. Wydano opracowany jeszcze przed wojną pierwszy podręcznik *Muzealnictwo*. Wówczas było to jedno z pierwszych wydawnictw tego typu. Uważam, że jest to nadal obowiązkowa lektura każdego muzealnika.

Po wojnie Związek zorganizował cztery zjazdy – w 1945 w Krakowie, w 1946 w Nieborowie, w 1947 w Poznaniu i w 1948 roku – XIX Zjazd w Bydgoszczy, Toruniu i Fromborku, ostatni. Jak już parokrotnie pisałem:

Ustrój Polski powojennej coraz wyraźniej przejawiał swe totalitarne cechy. Prawdliwość polegająca na wzmaganii kontroli państwa nad całością życia obywateli, doprowadziła do osłabienia znaczenia stowarzyszeń w ogóle, a w przypadku muzealnictwa, do rozwiązania i likwidacji w dniu 18 lutego 1951 r. Związku Muzeów w Polsce. Rok wcześniej – 1 stycznia 1950 r. niemal wszystkie muzea zostały upaństwowione, a więc postulat wysuwany wielokrotnie przez znaczną część naszego środowiska został spełniony. Szkoda jedynie, że nie stało się to w wyniku wypełnienia powinności państwa wobec rodzimej kultury, ale jako realizacja politycznego programu zmierzającego do monopolu ideologicznego¹.

Daleki jednak jestem od potępiania w czambuł okresu PRL-owskiego, przynajmniej jeżeli chodzi o muzea. Muzea co prawda zostały instytucjami frontu ideologicznego, jednakże jest prawdą także i to, że za cichym przyzwoleniem władz, stanowiły one swoistą niszę dla osób, dla których z przyczyn zasadniczych w socjalistycznym społeczeństwie nie było gdzie indziej miejsca. Dowodem na zachowanie tożsamości polskiego muzealnictwa jest również fakt, że nie powstało u nas ani jedno muzeum ateizmu tak popularne w innych krajach wschodniego obozu, a głównie w Związku Radzieckim. Po trudnych latach stalinowskich, kolejne „odwilże” łagodziły klimat i muzealnictwo w PRL przeżywało okresy nieco siermieżnej prosperity. Uregulowano problemy prawne dzięki uchwaleniu w 1962 roku *Ustawy o ochronie dóbr kultury i muzeach* wraz szeregiem aktów wykonawczych. Liczne placówki odbudowano od podstaw, jak np. Państwowe Muzeum Etnograficzne czy Zamek Królewski w Warszawie. Inne tworzono w miejscach, gdzie nigdy żadnych muzeów nie było. Niemal całe polskie muzealnictwo skansenowskie powstało w okresie PRL. Jednakże stowarzyszeń muzealnych w Polsce nie mieliśmy. Nawet po roku 1956 Związek Muzeów nie został reaktywowany. Sytuacja uległa zmianie dopiero w roku 1989.

Upadek systemu w 1989 roku oznaczał dla polskiego muzealnictwa przede wszystkim definitywne zniesienie monopolu ideologicznego i gruntowną przemianę istniejących struktur i mechanizmów. Przemiany te miały

¹ Andrzej Rataj, *Muzeum, problem tożsamości – refleksje*, [w:] *Muzeum XXI wieku – teoria i praxis. Materiały z sesji naukowej, organizowanej przez Muzeum Początków Państwa Polskiego i Polski Komitet Narodowy ICOM*, Gniezno, 2010, s. 88.

stworzyć szansę wprowadzenia na szeroką skalę decentralizacji i samorządności. Anulowano także obowiązujące przepisy prawne, w tym przepisy regulujące funkcjonowanie polskiego muzealnictwa. Niewątpliwie najbardziej brzemienne w skutkach okazało się oddzielenie muzeów od problematyki ochrony dziedzictwa kulturowego – którą to spójność najlepiej jak dotychczas wyrażała ustawa *O ochronie dóbr kultury i muzeach* z 1962 roku. Tego aktu prawnego nie zrekompensowała ani nowa *Ustawa o muzeach* z 1996 roku, ani wcześniejsza *Ustawa o prowadzeniu działalności kulturalnej* z 1991 roku oraz liczne poprawki i kolejne częściowe akty prawne.

Sukces ma wielu ojców, a porażka jest sierotą. Tak było również i w tym przypadku. Wiele osób uczestniczących w procesie tworzenia w rewolucyjnym zapale nowych aktów prawnych nie chciało przyznać się do autorstwa, gdy wyszły na jaw słabości proponowanych rozwiązań.

Kolejne zagrożenie dla tożsamości polskich muzeów stworzyła reforma administracyjna. Realizując postulat decentralizacji i komunalizacji mienia, władzom samorządowym powierzono m.in. ogromną większość polskich muzeów. Spowodowało to szereg niekorzystnych efektów. Po pierwsze powstał problem własności zbiorów. Nie skorzystano z wzoru holenderskiego, zgodnie z którym zbiory pozostają własnością państwa. Ponadto w ślad za nałożeniem na samorządy zaszczepionych obowiązków zarządzania „instytucjami kultury” nie poszły pieniądze na ich utrzymanie lub precyzyjniej: nie poszły w wystarczającej ilości. Wreszcie sama reforma administracji *de facto* oznaczała cofnięcie się na drodze modernizacji. Zniesiono dwustopniowy podział kraju (województwo + gmina), który zastąpiono trzystopniowym (województwo + powiat + gmina). W ten sposób stworzono ponad 300 nowych jednostek administracyjnych (powiatów), które w istocie nie miały czym administrować, a ponadto nie miały pieniędzy, nie licząc tych, które szły na utrzymanie „armii” urzędników. Biada muzeom, które wówczas przeszły pod władanie administracji powiatowej. Przeżyły tylko dzięki kruczkom takim jak finansowanie z subwencji drogowej. Czy istniała inna droga? Zapewne tak. Nie mieściła się ona jednak w głowach reformatorów. Istotnie byłaby to istna rewolucja. Myślę tu o prawdziwej samorządności. W wielu krajach istnieje system alternatywny, decentralizacja i związane z tym delegowanie kompetencji decyzyjnych i finansowych odbywa się w drodze włączania do zarządzania kulturą tzw. quangos (akronim

utworzony od quasi-NGO) – ciał pośredniczących, usytuowanych pomiędzy ministerstwem kultury a instytucjami kultury. Często ciała te mają charakter wyłącznie doradczy, ale są znane rozwiązania gdzie posiadają one uprawnienia władzy wykonawczej. Uwzględnienie czynnego udziału reprezentantów środowiska w funkcjonowaniu tych ciał lepiej służy zachowaniu i utrwalaniu tożsamości instytucji kultury. Jest to rozwiązanie lepsze od tworzenia pseudodemokratycznych ciał w postaci powoływania rad czy obdarzania środowiska muzealnego rzekomym udziałem w zarządzaniu muzeami np. poprzez stowarzyszenia. Obawiam się, że posunąłem się za daleko, w związku z czym kończę.

Wasz niepoprawny marzyciel
Andrzej Rataj

